

# Małe zwierzątka



RADEK RAK

## *Małe zwierzątka*

Na początku była cisza, a w ciszy były myszy i mysią była ta cisza. Przez myszy wszystko się stało, a bez nich nic by się nie stało, co się stało. Nie byłoby bez nich końca tej opowieści ani niczego, co do tego końca doprowadziło. Koniec zaś, jak wiele końców, miał miejsce w grobie, płytkim i błotnistym, bo tamtego dnia niebo popękało w szwach i z napuchniętych, szarych chmur puściły się strugi deszczu.

W wykopanym własnoręcznie grobie leżał Prezydent. Leżał i wył, wył straszliwie i zwierzęco i bluźnił temu, co na ziemi, i temu, co na niebie, i w ogóle wszystkiemu, co akurat słuchało. Zaciskał w dłoniach gliniaste błoto i wściekle tłukł całym ciałem jak w napadzie epilepsji.

— Żyjcie mnie, kurwy pierdolone, żyjcie mnie wreszcie, no na co wy czekacie?!

A myszy tylko kornie spuściły głowy i trwały w milczeniu. Bo tak trzeba robić, kiedy jest się myszą.

\*

W lokalnej prasie można niekiedy przeczytać, że Dębica jest dziurą. Miasteczko oficjalnie liczy blisko pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, a faktycznie może ze trzydzieści, bo reszta jest w Krakowie, w Warszawie, w Niemczech, w Anglii albo jeszcze gdzie indziej. Miasto kiedyś miało być większe, bo jeden z burmistrzów bardzo chciał zostać prezydentem i planował przyłączenie kilku okolicznych wiosek, aby Dębica stała się sześćdziesięciotysięczną metropolią, mogącą stawiać w szranki z, bo ja wiem, Mielcem albo nawet Stalową Wolą. Mieszkańcy wsi stawili jednak solidarny opór, tymczasem partia, do której burmistrz należał, przestała być modna, a on sam nie tylko nie został prezydentem, lecz także przestał być burmistrzem.

Dębica znajduje się w połowie drogi między Tarnowem a Rzeszowem, które — w opinii wspomnianej prasy — również są dziurami, choć nie aż takimi, i leżą o lata świetlne od takiego na przykład Krakowa, o Warszawie nie wspominając. Można tedy wyczytać, że jest Dębica dziurą dziur.

Jest też miastem, które śmierdzi. Z zakładów drobiarskich śmierdzi kurami, z firmy oponiarskiej paloną gumą, a z wytwórni farb i lakierów — czymś bardzo dziwnym. A że każde z tych miejsc znajduje się na innym krańcu miasta, można po zapachu poznać, z której strony wieje wiatr. Bywają więc w Dębicy dni kurze, dni gumowe i dni o dziwnej woni. Latem, gdy wyleje któraś z okolicznych rzek, śmierdzi tu ponadto gnilnym zaduchem i wszystkim tym, co rwące, pogórskie rzeki niosą w swych trzewiach, zimą zaś śmierdzi dymem z ekogroszku i przeróżnych rzeczy, którymi ludzie palą w piecach.

O tym smrodzie Prezydent również dowiedział się z prasy, bo nigdy nie mieszkał poza Dębicą wystarczająco długo, by zwrócić na to uwagę. Dla niego był to po prostu zapach domu. No i wszystkie małe miasteczka w tej części świata chyba pachną podobnie. Wiadomo, że nie należy wierzyć w ani jedno słowo z tego, co piszą w gazetach. Tym bardziej, że jedna z redaktorek pochodziła z Warszawy, choć mieszkała w Dębicy od ponad dekady, i tydzień w tydzień smażyła sążniste felietony o smogu, adopcji kotów i pozytkach płynących z jedzenia tofu, którego kostka kosztowała mniej więcej tyle co dwa bochenki chleba, masło roślinne z narysowanym słonecznikiem, choć wytwarzano je z rzepaku, dwie konserwy turystyczne i jeden paprykarz szczeciński, a więc tyle, ile Prezydent zjadał przez pięć dni.



Prasie nie należy więc wierzyć, ale w dobrym tonie jest ją czytać. Gazet nie czytają tylko debile, jak twierdził pan Jonasz, bo debilom wystarczy internet. Dlatego też każdego ranka zaraz po pierwszym piwie brał się do prasówki wraz z Szegim, Prezydentem i Ryżym Iwanem. Zrzucali się na zakup „Faktu”, siadali na ławeczce przy ulicy Kolejowej, tuż obok budy z najlepszymi zapiekankami na świecie, i komentowali szczegółowo każdy artykuł i każdy nagłówek krzyczący literami czarnymi, czerwonymi lub białymi, wszystko, aż po gołą babę na ostatniej stronie. Czasem, jak mieli więcej pieniędzy, kupowali też dębickie „Echo”, zwłaszcza we wtorki, kiedy pisano dużo o sporcie, a w weekendy też „Gazetę Krakowską”. Chyba że padał deszcz albo któryś z mężczyzn musiał iść do pracy, co na szczęście nie zdarzało się często.

Pan Jonasz pracować nie musiał, brał rentę z ZUS-u. Wiele lat temu stracił prawie całą stopę i chromał. Jak wielu starszych ludzi, lubił opowiadać w kółko tę samą historię: używał tych samych słów i nawet przerwy na oddech robił w tych samych momentach, przez co cała ta jego gęźba nabierała liturgicznego charakteru. Stopę stracił więc podobno jeszcze w ubiegłym wieku, kiedy pewnego dnia wybrał się nad zalew w Chotowej ze swoją towarzyszką. W tych czasach pan Jonasz nie był jeszcze stary i zniszczony wodą, więc często miał towarzyszkę na dłużej i na krócej. Siedzieli sobie tedy na drewnianym pomoście, dyndając nogami. Pachniało słońce, pachniało owocowe wino w oddechu pana Jonasza i jego towarzyszkę, pachniała woda, i nagrzane deski pomostu też pachniały. Dołem przemykały małe rybki, jak słoneczne refleksy zagubione w zielonej toni. Było południe, południe lata i południe życia pana Jonasza, bo każdy w swoim życiu ma taki czas, spokojny i szczytowy, po którym już tylko w dół, ale pan Jonasz wtedy tego jeszcze nie wiedział. Wtem woda pod pomostem wzburzyła się, rybki rozpięzchły we wszystkie strony, a z topieli wyskoczył szczupak, skurwiel długi na szerokość ramion i gruby jak udo. Pan Jonasz ręce ma dość długie, a uda raczej chude, ale ryba i tak musiała być zaiste imponująca. Chlast, prask, raz tylko potwór kłapnął paszczą i stopy nie ma, tylko zasikany krwią kikut i świdrujący pisk towarzyszkę. Tak to wielka ryba pożarła pana Jonasza, może nie w całości, ale wystarczająco, by mu utrudnić i uprzykrzyć wiele spraw. Razem z tą stopą pożarła dużą część jego życia.

Szegi nieodmiennie stwierdza, że pan Jonasz pierdoli i że stopę ujebał sobie po pijaku szlifierką. Prezydent myśli wtedy, że tamten po prostu zazdrości kompanowi. Szegi bowiem nie ma własnej historii. Mógł mieć, ale siły większe od niego zdecydowały inaczej. Z końcem lat osiemdziesiątych miał zostać kierownicą ciężarówki w Igloopolu, kombinacie produkującym wszystko, co dało się zjeść, od konserw, przez mrożonki warzywne, po oranżady i napoje owocowe z odpowiednią dawką chemii. Fucha jakich mało. Wszystko już było załatwione po znajomości i za odpowiednią ilość wódki wypitej z kim trzeba, bo tak się wtedy takie sprawy załatwiała. Miał więc Szegi być tym kierownicą, ale nie został, bo przyszła transformacja, Igloopol rozleciał się na kawałki, które rozdrapano albo sprzedano byle komu. Parędziesiąt tysięcy osób straciło pracę. Stracił i Szegi, zanim ją dostał. Zaczął pić i pił tak, że nie wytrzeźwiał porządnie już nigdy. Odebrano mu prawo jazdy na ciężarówkę, zrobione jeszcze w wojsku, i oficjalnie został nikim. Jest w Dębicy takich Szegich bardzo wielu, ale w tej opowieści pojawi się tylko ten jeden; wystarczy.

Prezydent nie rozumie, czemu neguje on każde słowo pana Jonasza, czemu tak boli go bycie nikim i nieposiadanie historii. Historia to coś, co składa się z bólu i cierpienia, a brak to po prostu brak i trudno, żeby bolał. Prezydent sam ma pewną historię, choć wolałby nie mieć, i dobrze wie, jak to jest. Dziwne siły rządzące światem — Bóg albo coś jeszcze gorszego — nie pytały go nigdy o zdanie. Szanuje jednak, że Szegi myśli inaczej, i nie mówi nic, co zwykle świetnie mu wychodzi. Podobnie Ryży Iwan. Ryży Iwan bardzo rzadko się odzywa, jest bowiem psem.

Tak się tedy wydarzyło, że pewnego letniego poranka — a był to dzień o zapachu gumy — do pana Jonasza, Szegiego, Prezydenta i Ryżego Iwana podeszła redaktorka lokalnego dziennika. Rozpoznali ją od razu, bo przecież nie byli ograniczonymi chamami i czytali tę gazetę od czasu do czasu, mimo że nie było w niej gołych bab. Speszyl się i każdy schował swoją butelkę, gdzie tylko mógł — pan Jonasz za pazuchę, Prezydent za nogę ławki, a Szegi, który siedział pośrodku i nie miał gdzie podziąć piwa, wydudlił je na raz i udawał, że butelka od początku była pusta, a on wcale nie pił. No bo to przecież

trochę wstyd tak pić od samego rana, wszyscy czterej o tym wiedzieli, choć przecież robili tak od lat.

A pani redaktor Jowita Popiel zachowała się z klasą i nic nie wspomniała o piwie. Zapytała tylko grzecznie, czy chcieliby porozmawiać z nią o braku perspektyw w Dębicy, bo akurat pisze o tym felieton.

— I że jak, że co, że niby my perspektyw nie mamy, tak? Bo po nas od razu to widać, więc sru, można tak po nas jeździć i obsmarowywać po gazetach?!

— Zawrzyj gębę, kretynie. Pani wybaczy, ale kolega Szegi ma język prędszy niż głowę. Dlatego nie zawsze mówi to, co myśli naprawdę, bo kiedy mówi, to jeszcze nie do końca wie, co myśli. — Pan Jonasz uśmiechnął się promiennie. Być może temu uśmiechowi zawdzięczał niegdyś swe powodzenie, bo zęby pana Jonasza były szlachetnej barwy kości słoniowej; przynajmniej te, które miał.

— Co ty, kurwa, pierdolisz...

— Wyrażaj się. A Dębica wcale nie jest miastem bez perspektyw. Nowe inwestycje powstają, nowy dworzec mamy, no i nowe osiedla się buduje, więc przecież ktoś musi te mieszkania kupować. A skoro kupuje, to znaczy, że ma za co...

— Gówno prawda, nic nie ma, wszystkie perspektywy za transformacji skurwysyny rozkradli.

— Niech pani usiądzie. — Prezydent odezwał się po raz pierwszy tego ranka i zrobił na ławce miejsce dla pani Jowity.

— Dziękuję, nasiedzę się jeszcze w pracy. — Dziennikarka kucnęła, a Ryży Iwan bezczelnie wpełznął jej łeb pod ramię, domagając się głaskania. Pan Jonasz i Szegi nie zwracali już na nic uwagi, tylko jęli klócić się zawzięcie, i pierwszy mówił, że perspektywy są na pewno, bo zawsze istnieje raczej coś niż nic, a drugi, że czerni, noc i ciemna dupa.

— To pana pies?

— Nie bardziej on mój niż ja jego. Tak naprawdę to jest swój własny. Ale trochę nam w życiu razem po drodze, więc pewnie można powiedzieć, że to mój pies.

Pani Popiel odgarnęła z czoła spadające włosy i przyjrzała się Prezydentowi z zacięciem wieniem.

— A pan? Uważa pan, że w Dębicy są jakieś perspektywy?

— Niech tylko pani popatrzy wzdłuż Kolejowej. Widzi pani? Niskie domy, kamieniczki, podcienia i ten brzydki, stalinowski klocek po drugiej stronie. Smutek i melancholia ulicy jak u Giorgio di Chirico. Można by ćwiczyć rysowanie perspektywy. A pani mnie pyta o perspektywy w Dębicy. Znalazłoby się ich trochę, ale ta tutaj podoba mi się najbardziej. No i są też smaczne zapiekanki, a to nie bez znaczenia. Wieczorem przeceniają o połowę te, które im nie zeszły.

— Ciekawa... perspektywa.

— Prawda? Zwłaszcza jak na żula.

— Nie o to mi chodziło.

— Wiem. Tak naprawdę to pytała pani, czy są w tym mieście jakieś szanse na pracę, na godne zarobki, na, bo ja wiem, szkołę angielskiego dla dzieci, kurs tańca albo florystyki, albo na drogę bez dziur i tak dalej. Wszystkie te rzeczy, które mają albo robią ludzie w dużym mieście.

— Mniej więcej.

— No to chyba mamy to wszystko. Mam co jeść. Mam, póki co, gdzie mieszkać. Zimą mi nie za gorąco, latem nie marzną. Szkoły takie czy siaki też w mieście są i może nawet znalazłaby się jakaś droga bez dziur.

Jowita Popiel usiłowała coś powiedzieć, ale Prezydent gestem nakazał jej milczenie. Ryży Iwan nastawił uszu i zawarczał z głębi piersi, ale i on został uciszony.

Nie wiadomo skąd, może z zakamarków pod obluzowaną kostką brukową, a może z jakiegoś dziwniejszego jeszcze miejsca, wychyłała bura mysz z przegą na grzbiecie. Stała na zadnich łapach i jęła węszyć, jakby sprawdzała, czy dziś jest dzień gumowy czy kurzy. Prezydent podał jej kawałek wczorajszej zapiekanki. Mysz, o dziwo, nie spłoszyła się, tylko uważnie obwąchała czerstwe pieczywo z odrobiną pieczarek i wyrobu seropodobnego, po czym porwała go i znikła gdzieś w mysich światach, jakby jej nigdy nie było. Pogrążeni w klótni pan Jonasz i Szegi nawet jej nie spostrzegli.

Redaktorka długa chwilę wpatrywała się w pustkę po myszy, zanim zapytała:

— Znajdzie pan czas, żeby jeszcze trochę porozmawiać, panie...  
— Prezydent.  
— Panie Prezydencie? — Pani Popiel nawet się nie zająknęła i Prezydentowi trochę się to spodobało.  
— Pewnie bym i znalazł, pani redaktor, ale obawiam się, że nie za bardzo jest o czym.  
— A ja myślę, że jednak jest.  
— Pójdzie wszystko przeinaczone do gazety i potem ludzie będą się śmiać.  
— Nie pójdzie nic, czego pan nie zechce.  
— Hm.  
— Jutro?  
— Jutro nie. Muszę kopać grób.  
— Grób?  
— Grób. Ale może być pojutrze. Niech pani przyjdzie o dziesiątej rano pod Kaczyńskiego.  
— Pojutrze o dziesiątej pod Kaczyńskim. Jak najbardziej. Do zobaczenia, panie Prezydencie. — Uśmiechnęła się słonecznie i uściśnęła mu dłoń. Ryży Iwan trącił kobietę łapą, więc uściśnęła ją również. Pan Jonasz i Szegi nie zwracali już na nią uwagi. Zupełnie jakby była myszą.

\*

Z Prezydentem i myszami było tak.

W ósmym roku jego życia padły rybki w klasowym akwarium. Jednego dnia pomykały sobie w najlepsze wśród wodorostów i kolorowych kamyczków, a drugiego dryfowały brzuchami do góry, rozdęte jak choinkowe bańki i wpatrzone zmatowiałymi oczami w jakiś smutny, podwodny zaświat. Neonki, molinezje, jeden tłusty welon i parę czarnych rybek o wylupiastych oczach, przezywanych teleskopami, które Prezydent lubił najbardziej. Ostał się tylko glonojad, ale glonojad od dawna nie robił nic, tylko zalegał na zwirowym dnie, podobny do kamienia nakrapianego słonecznymi plamkami. Możliwe więc, że glonojad umarł również, tyle że mniej widowiskowo i nikt tego nie zauważył.

Pani Eliza, wychowawczyni klasy drugiej be, stwierdziła od razu, że ryby pozdychały z przejedzenia. No bo jak takie grube, to nie mogło być inaczej. Ryby, wiadomo, są głupie i zeżrą wszystko, co im się da. Argumentacja ta trafiła do wszystkich dzieci, choć teraz, gdy Prezydent jest stary i więcej zna się na zwierzętach, to wie, że wcale to tak nie działa i ryby pęcznieją z wielu przyczyn. Skoro jednak przejedzenie, to ktoś musiał nasypać im zbyt wiele karmy.

Wychowawczyni, bogata w wiedzę pedagogiczną łączącą tradycję z nowoczesnością, rozpoczęła dochodzenie. Najpierw przepytала dyżurnego. Dyżurował akurat Tomek, zwany Grubym Bubą, który był ulubieńcem pani Elizy i wolno mu było bić inne dzieci. Gruby Buba powiedział, że to nie on, został tedy uniewinniony. By zatem wykryć winowajcę, uciekła się pani Eliza do chytrego podstępu. Zapędziła całą klasę do łazienki, odkręciła wodę w kranie i nakazała wychowankom chlapać ile wlezie. Po powrocie do sali ustawiła dzieci w kółeczku z rękami wyciągniętymi w przód, jak u zmarłych, co wstali z grobu.

Prezydent stał razem z innymi, z bijącym sercem i strachem w oczach, bo widział, jak ręce innych dzieci ociekają wodą, jego zaś są prawie suche. Do umywalki ledwo się dostał, nigdy nie miał śmiałości, by przepychać się w stadku dzieci. Nie miał pojęcia, co ta suchość oznacza, ale dobrze czuł, że zaraz stanie się coś niedobrego. Nie zdziwił się więc, gdy pani Eliza po obmacaniu jego dłoni z triumfalnym uśmiechem wyciągnęła go na środek.

— No, no — powiedziała. — No, no, no. Kto by pomyślał.

— To nie ja — pisnął.

Przeraziło go, że może zostać oskarżony o coś, czego nie zrobił. Nogi ledwo go trzymały i miał wrażenie, że zaraz się przewróci.

— Winny się tłumaczy — rzekła surowo. — Kto zawinił, boi się wody. A woda nie kłamie, w przeciwieństwie do ciebie.

— Ale kiedy ja naprawdę nic.

Prezydent czuł ciężar spojrzenia pani Elizy i dzieci dookoła, jakby nagle położono mu na grzbiecie wielki kamień. Czuł też, że z każdym słowem pogrąża się coraz bardziej, a kamień staje się cięższy i cięższy.

— Przestań. To wstrętne tak iść w zaparte. — Pani Eliza ucięła jego słabe protesty. Popatrzyła nań z góry, z potępieniem i pogardą.

Dochodzenie było skończone. Prezydent dostał sążnistą uwagę do dziennika — i za sprowadzenie na rybki okrutnej śmierci, i za kłamanie — oraz groźbę obniżenia oceny z zachowania, jeśli się nie przyzna. Przestraszył się tego bardzo, więc się przyznał. Ogłoszona przez panią Elizę anatema i jego przyznanie się do winy sprowadziły na niego również odrzucenie przez całą klasę: do końca semestru żadne dziecko nie chciało się odzywać do mordercy ryb. Ojciec Prezydenta w domu sprzął syna po dupie, no bo przecież się przyznał, a skoro się przyznał, to znaczy, że był winny; przecież niewinny się nie przyznaje. Poza tym pani Eliza była cenioną nauczycielką o licznych osiągnięciach, w dodatku uwielbianą przez dzieci, a Prezydenta nie lubił właściwie nikt. To wystarczyło do wymierzenia domowej sprawiedliwości.

Wieczorem po ogłoszeniu wyroku Prezydent nie wiedział jeszcze, że przez parę miesięcy żadne dziecko się do niego nie odezwie, nie zastanawiał się więc nad tym. Kiedy po zmroku wyszedł wyrzucić śmieci, mógł myśleć tylko o niesprawiedliwie zbitej dupie. Dlatego niewiele brakowało, a byłby się nie zatrzymał na widok kilku kotów otaczających coś okręgiem. Było już prawie całkiem ciemno, a koty siedziały przyczajone na skraju światła, rzucanego przez jedyną działającą latarnię w okolicy. Prezydent cisnął śmieci do kontenera; śmietnik był wypełniony po brzegi, a nawet trochę bardziej, i worek stoczył się ze sterty na ziemię. Wszędzie rozsypały się butelki, papiery i obierki z ziemniaków, bo to były lata dziewięćdziesiąte i nikomu nie śniło się sortowanie odpadów.

Koty nadal trwały w kółeczku. Zaciekawiony Prezydent zatrzymał się na chwilę. Musiał wyteńczyć wzrok, by w półmroku dostrzec maleńki cień pośrodku kociego kręgu.

Z początku myślał, że mysz nie żyje, ale gdy podszedł bliżej, okazało się, że jest po prostu sztywna ze strachu. Koty rozpięzły się spłoszone, na odgłos jego kroków. Ujął mysz za skórę na karku i odniósł daleko, na zachwaszczony kirkut. Zwierzątko ani drgnęło, skulone w pozycji płodu. Dopiero odłożone na ziemię czmychnęło w pokrzywy i zeszcłe liście.

Ta uratowana mysz długo nie mogła mu wyjść z głowy. Może po prostu zobaczył w niej siebie, osaczonego przez panią Elizę i dzieci z klasy. Dlatego też nie zdziwił się, gdy nocą kilka dni później, kiedy dryfował po ciemnym morzu na granicy jawy i snu, ujrzał na krawędzi swego łóżka przycupniętą mysz. Zwierzątko wbiło w niego oczka, maleńkie i błyszczące mrokiem.

— Bądź pozdrowiony, obrońco i wybawicielu — przemówiło, a tak przynajmniej się Prezydentowi wydawało. Nie wiedział, co odpowiedzieć, więc nie odpowiedział nic. Myszy jednak najwyraźniej wcale to nie przeszkadzało.

— Wiedz, że mysia wdzięczność większa jest od ludzkiej. Cokolwiek uczyniłeś jednej z myszy najmniejszych, wszystkim myszom uczyniłeś. Pamiętamy i nie zapomnimy, choćby minęło sto pokoleń i dwieście. Jeśli kiedyś opadną cię koty, przybędziemy ci z pomocą.

— Co się wtedy stanie? — odważył się zapytać Prezydent.

— Będziemy się mścić. Będziemy zabijać. Wszystkie małe zwierzątka muszą trzymać się razem, bo to jedyna nasza nadzieja. Tylko razem jesteśmy groźni. Razem jesteśmy kłem, pazurem i szponem. A ty też jesteś małym zwierzątkiem. Pachniesz strachem. Pachniesz tak, jak my.

I znikła, czmychnęła gdzieś nagle, jak to myszy mają w zwyczaju, tylko pazurki zachrobotały po podłodze. A Prezydent otulił się kołdrą po same uszy i zasnął. Spał spokojnie i jasne były jego sny. Bo choć uważał mysz i obietnicę mysiej zemsty za wytwór wyobraźni, to przecież każde małe zwierzątko chce, by ktoś odplacił za jego krzywdy.

\*

Prezydent kopał grób. Kopanie grobów było przyjemną pracą. Łopata ziemi za łopata, łopata za łopata, jak nabieranie zupy łyżką: niby za jednym razem nic nie ubywa, ale

przecież z czasem zupy jest coraz mniej, i tak samo z czasem dół robi się coraz głębszy. I miło jest pomyśleć, że ktoś będzie miał z tego grobu pożytek, że będzie sobie w nim leżał i nie żył. Dlatego powinno w nim być wygodnie.

Dobry grób znaczy nawet więcej niż dobry dom. Niektórzy ludzie nieraz całe życie spędzają w ciasnych klitkach w blokach, gdzie co prawda jest ciepło, ale jeden siedzi drugiemu na głowie, a cienkie ściany zdradzają najintymniejsze sekrety sąsiadów. Inni żyją w domach, których nigdy nie da się ogrzać jak należy, i wonieje stęchlizną, gdzie w zimowe wieczory trzeba siedzieć pod stertą koców, a i tak nie udaje się wypędzić zimna z kości.

W niedobrym domu przykro jest żyć, ale o ileż gorzej jest nie żyć w niedobrym grobie, gdzie spędzić trzeba całą wieczność aż po dzień zmartwychwstania. Przynajmniej tak było do niedawna, bo jakiś czas temu nowy proboszcz zarządził, że groby starsze niż dwadzieścia lat, którymi nikt się nie opiekuje, należy rozgrzebać i zaorać, by zrobić miejsce dla nowych zmarłych. Prezydent często widywał, jak maszyny wyrzucały wielkie grudy ziemi, białawej w barwie, bo trupy z czasem zamieniają się w wapno. Widywał i nie mieściło mu się w głowie, jakie to ma być wieczne odpoczywanie, i jaki to będzie wstyd, gdy na koniec czasów przyjdzie umarłym zmartwychwstawać po pięciu, dziesięciu albo nawet dwudziestu z jednego małego grobu, jeśli kolejni proboszczowie okażą się równie przedsiębiorczy co obecny. Będą ci zmarli tłoczyć się i cisnąć, i wchodzić jeden drugiemu na głowę, i może powstać taki tłok i ścisk, że nie wszyscy zdążą zostać odpowiednio osądzeni i zamiast do zbawienia trafią do potępienia, albo na odwrót, bo przecież w tłumie i zamieszaniu nietrudno o pomyłkę.

Prezydent zna te wszystkie cmentarne sprawy, bo od lat robi za grabarza z dosko-ku. Prawdziwym grabarzem był co prawda bardzo krótko, bo odkąd wszystko przejęły firmy pogrzebowe, mało kto już chce, by mu Prezydent przygotowywał dołek. Poprzedni proboszcz, ksiądz Kwiatek, porządny chłop, ulitował się nad Prezydentem i pozwolił mu kopać groby dla dzieci. Nowy już na to nie zezwala; czasem tylko przyjdzie wikary i w tajemnicy przed proboszczem pozwoli Prezydentowi wykopać jakiś grób. Zwykle dla dziecka albo biedaka bez rodziny, takiego jak sam Prezydent. Ksiądz płaci za to stówkę albo dwie i przykazuje nikomu nie mówić.

— Mnie pan powiedział — śmieje się pani Jowita Popiel.

— Bo pani to co najwyżej opisze w gazecie, a gazetom nikt nie wierzy.

— Takie złe ma pan zdanie o prasie?

— Nawet jeszcze gorsze.

Siedzą pod Kaczyńskim, czyli pod Memoriałem Smoleńskim. Pomnik znajduje się na leżącym trochę na uboczu skwerze i ma postać wbitego w ziemię ogona samolotu; spod tego ogona wystaje popiersie prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Rankiem gromadzą się tu żule, po południu emeryci, wieczorami zakochani, a nocą pijana młodzież. Teraz jest rano, pora pierwszego piwa, ale pić przy eleganckiej pani z Warszawy to w ogóle nie przystoi. Dlatego Prezydent specjalnie wstał dziś wcześniej i swoje pierwsze piwo wypił przed piątą rano. Nawet założył lepszą koszulkę, niebieską w drobną kratkę, w której chodził na randki w czasach, gdy życie miało więcej sensu.

Rozmawia mu się z panią Jowitą lepiej, niż przypuszczał. Dziennikarka nie zadaje zwykłych dziennikarskich pytań. Nie docieka, nie draży, co Prezydent robi w czasie, gdy porządni ludzie są w pracy, ani z czego żyje i z czego ma pieniądze na alkohol. Trochę go to nawet rozczarowuje, bo gdyby padło pytanie, z czego żyje, przygotował sobie zawczasu gotową odpowiedź:

— Tak sobie żyję z Bożej łaski.

Zamiast tego gadają o wielu sprawach ciekawych i nieistotnych, bo wszystkie naprawdę ciekawe rzeczy na świecie są mało istotne. Rozmawiają na przykład o Ryżym Iwanie, który co rusz podkłada łeb pod rękę pani Jowity albo natarczywie trąca ją łapą, gdy ta choć na moment przestaje go głaskać.

— Lubi panią — zauważa Prezydent.

— Bo tak się łąsi?

— Gdzie tam. Lgnąłby do każdego, byle go głaskać, taka to kurwa sprzedajna. Ale on tak na panią dobrze patrzy. Powiedziałbym, że mądrze, gdybym go tyle lat nie znał.

— Nie wygląda na głupiego.

— Ja nie mówię, że jest głupi. Jest bardzo bystry i wyszczekany. Ale specjalnie mądry to on nie jest. Prawdę mówię, Iwan?

Ryzy Iwan daje głos na dowód wyszczekania, ale nadal trwa wpatrzony w redaktorkę, ziając i robiąc najbardziej błazeńskie miny z psiego repertuaru.

— Świetnie pan rozumie psią duszę — rzecze uprzejmie pani Jowita.

— E. Jaką tam duszę. Psy nie mają duszy.

— No wie pan!

— Tego tylko brakuje, by mi ten, za przeproszeniem, sukinsyn jeszcze po śmierci w zaświecie głowę zawracał. Trzeba przecież od siebie odpocząć. A poza tym to nie wie nikt, na co się Pan Bóg z psami umawiał. Z ludźmi to wiadomo: na duszę nieśmiertelną, na niebo albo piekło, do wyboru. Ale z psami? Dlaczego miałby się umawiać z psami na to samo, co z ludźmi? Niech pani popatrzy, jaki świat złożony. Inny jest los człowieka, inny myszy, gołębia, ryby albo tej osy, co to leci upierdolić Iwana, a która wcale nie jest osą, tylko gąsienicznikiem, i składa jaja w ciałach gąsienic pewnych gatunków motyli. Dlaczego wszystkich miałoby spotkać to, co ludzi? Prawdę mówię, Iwan, czorcie jeden?

Rudy kundel szczeka donośnie.

— Sama pani widzi. A gdyby to było mało, to powiem pani w sekrecie, że ten psi syn nie jest nawet ochrzczony. I kiedy patrzę, jak się prowadzi, jak za sukami gania, jak tylko patrzy, co by tu komu zwędzić i jak zrobić, żeby się nie narobić, a za to nażreć się za pięćciu, to już lepiej, by nie miał duszy, bo psie diabły w psim piekle z pewnością już na niego kręcą łańcuch i kolczatkę. Nie zanudzam pani?

— Absolutnie. Pan jest szalenie zajmujący.

— Jak na żuła. Prawda?

Jowita Popiel waha się, ale tylko przez krótką chwilę.

— Tak. Jak na żuła — przyznaje. Prezydent uśmiecha się szeroko.

— To miłe, że pani nie udaje, co o mnie myśli.

— Jak pan został Prezydentem?

I Prezydent odpowiada, że to bardzo proste. Wystarczy odpowiednio się nazywać. Przedstawia się więc z imienia i nazwiska i już sprawa jest jasna. Zaczęto go tak przezywać, gdy jego imiennik wygrał wybory.

— A żulem? Jak pan został żulem? Jest pan inteligentny i dobrze się wysławia.

— Jedno i drugie chyba przez książki. Ja dużo czytam, pani redaktor. Zawsze dużo czytałem. Pewnie za dużo. Od czytania robią się z głową dziwne rzeczy. Potem człowiek nie może jakoś odnaleźć się w życiu. Ale przestać się nie da. Straszny nałóg, te książki. Stokroć gorszy od wódki. Powinno się go leczyć na odwyku w specjalistycznych ośrodkach. Najgorsze zaś jest to, że już przeczytałem wszystko, co w miejskiej bibliotece było wartościowego i nadawało się do czytania.

— Mam sporo książek na ranchu za miastem. Może nie wszystkie są wartościowe, ale pewnie coś pan dla siebie znajdzie. Zapraszam.

Prezydent płoszy się nagle. Czuje, że płoni się jak nastolatek.

— Ale ten... Obiecałem Iwanowi, że pójdziemy nad Wisłokę oglądać perkozy. Znaczy, on płoszy, a ja oglądam.

— Może zatem być pojutrze.

Od uśmiechu pani Jowity robi mu się dziwnie miętko w środku.

— Pojutrze?

— Na wypadek, gdyby jutro znów musiał pan kopać grób.

\*

Kopanie grobów nie wzięło się znikąd. Prezydent jeszcze jako dziecko wyprawiał urozyste pogrzeby martwym zwierzętom. Przeważnie ptakom, bo o martwe pisklęta było łatwo każdej wiosny; rzadziej żabom i jeżom, a najrzadziej kotom. Koty bowiem kończyły zwykle życie pod kołami samochodów i nie nadawały się potem do pochówku, bo rozpadały się na kawałki i trzeba je było składać do grobu na raty, a to nie wydawało się Prezydentowi zbyt godne. No więc koty nie. Tak samo jak owady. Owadzia śmierć wydawała się Prezydentowi śmiercią zupełnie innego rodzaju niż psa, kota czy człowieka.



Może to przez jej powszechność, a może przez to, że owady tak bardzo przypominały maszyny: twarde pancerze, wewnątrz trochę ruchomych elementów, jakieś smary, oleje, pokrętła i przekładnie. Na pierwszy rzut oka wygląda to groźnie i skomplikowanie, ale gdy się dokładniej przyjrzeć, to już wcale nie. Dlatego gdy umiera żuk albo osa, to jest tak, jakby na amen zatarł się silnik w samochodzie. Owada nie opląca się naprawiać i trzeba go zełomować; przychodzą wtedy po niego mrówki i robaki, i nie należy im przeszkadzać.

Gdzieś pomiędzy maszynami a prawdziwymi zwierzętami plasowały się ryby. Prezydent nigdy nie wyprawiał rybom pogrzebów, może dlatego, że nie miał z nimi zbyt dużego kontaktu, a może dlatego, że ryby nigdy nie poznały ziemi i nie było powodu, dla którego miałyby być w niej grzebane.

Te dziwne, chtoniczne zabawy Prezydenta pociągały inne dzieci, zwłaszcza dziewczynki. Kobiety bowiem od początku są bliżej ciała i lepiej je rozumieją, a jedną ze spraw ciała jest śmierć. Tak więc miał Prezydent zawsze wierne grono żałobniczek i — trochę rzadziej — żałobników, przynajmniej dopóki o wszystkim nie dowiedziały się matki tych dzieci. Efektem jednak było sporo miejsc wiecznego spoczynku, ozdobionych zerwanymi mleciami, stokrotkami i wieńcami z koniczyny. Niektórym z tych grobów udawało się nawet przetrwać więcej niż jedną ulewę.

Prezydentowi nigdy nie przeszło przez myśl, że zabawy w grabarza zwierząt mogą doprowadzić do nieszczęścia.

To się stało na wycieczce szkolnej w Beskidy, w trzeciej klasie podstawówki. Prezydent został już wyjęty spod anatemy rybobójcy i niektóre dzieci ponownie zaczęły się do niego odzywać. Na tyle przynajmniej, by posłuchać, jak opowiadał o salamandrach. Dzień był bowiem zimny i ociekający deszczem, i większość klasy narzekała, ale nie Prezydent. Wypatrzył w trawie salamandrę, co wystarczyło, by uznać wycieczkę za udaną. Płaz lśnił tłustą czernią i słoneczną żółcią, a Prezydent półgłosem opowiadał jednej z dziewczynek o tym, że niegdyś wierzono, że salamandry żyją w ogniu — półgłosem, bo pani Eliza często strofowała go za przechwalanie się i wpisywała mu uwagi, gdy nieproszony dzielił się swoją wiedzą. Pani Eliza tym razem nie usłyszała niczego, usłyszał za to Gruby Buba. Złapał salamandrę za ogon i cisnął w żar grilla, rozpalonego pod zbutwiałą wiatą turystyczną. Prezydent natychmiast wygrzebał zwierzę gołymi rękami, wzbijając w górę snop iskier i zbierając tęgi ochrzan od pani Elizy, tym surowszy, że była pochłonięta konwersacją z panem przewodnikiem. Konwersacja pełna była półszeptów i trochę głupawych chichotów, a Prezydent nie wiedział wtedy jeszcze, że dorosłym w takich chwilach nie należy przeszkadzać.

Salamandra, o dziwo, przeżyła. Może ochronił ją gęsty śluz na powierzchni ciała, a może stare legendy mają w sobie więcej prawdy, niż mogłoby się wydawać. Chłopiec zdziwił się, jaka jest sprężysta i przyjemna w dotyku, nie tak twarda jak jaszczurka, ale i zupełnie nieprzypominająca rozlanych żab i ropuch. Wyszedł na zewnątrz, by ją wypuścić. Zafascynowany nie zwracał nawet uwagi na poparzone palce. Pewnie zrobił źle, poświęcając tyle czasu na zachwywanie się płazem, bo Gruby Buba, zły, że salamandra nie spłonęła w grillu, wyrwał ją Prezydentowi z ręki i rozdeptał. Prezydent krzyknął i popchnął Bubę, ale dla zwierzątka było już za późno. Język wypadł z pyska, pękły płytko osadzone oczy, a kloaką wyszły trzewia, różowe, zielone i żółte. Buba również popchnął Prezydenta, tylko trzy razy mocniej, aż ten łomotnął o ścianę wiaty i świeceki stanęły mu przed oczami. Zaraz ze środka wypadła pani Eliza i jęła coś wykrzykiwać, machać gniewnie rękami przed oczami Prezydenta i szarpać go za przód koszulki, ale jemu ciągle szumiało w głowie i niczego nie rozumiał. Prawdopodobnie jednak zaliczył kolejną uwagę.

Kiedy wreszcie w pełni doszedł do siebie, spostrzegł, że siedzi w kucki w deszczu. Reszta dzieci z panią Elizą i panem przewodnikiem wciniała już kielbasy w bulce z musztardą i keczupem. Salamandra, rozdeptana, leżała jak leżała, tylko wnętrzości trochę jakby zbladły i szarzyły, i nie miały już takich pięknych kolorów. Prezydent zakopał ją w wilgotnej ziemi kilka kroków dalej. I gdyby na tym zakończył sprawę, nic by się nie stało. Ale on postanowił jakoś uczcić zwierzątko, bo czuł się winny jego śmierci, i ją układać na szczycie kopczyk z kamyków, szarych, białych i różowych w czarne kropki.

Przez okienko wiaty musiał spostrzec go Gruby Buba, bo po chwili wyrósł tuż obok.

— Co zrobisz, zjebie?

Wiedząc z doświadczenia, że na zaczepki silniejszych najlepiej jest nie odpowiadać, Prezydent milczał, dalej robiąc swoje. Kurhan był niemal gotowy.

— Zjeb nie dość, że głupi, to jeszcze głuchy — spróbował Gruby Buba. Bez reakcji. — Śmierdzisz gównem, bo twoich starych nie stać na wodę i papier do dupy. Jesteś tak biedny, że twoja matka daje ci na śniadanie kanapkę z kupą.

Gdy Prezydent nie zareagował i na to, Gruby Buba postanowił baczniej przyjrzeć się jego pracy.

— Po co nosisz te kamyki?

— Bo tak mi się podoba — burknął Prezydent, nie potrafiąc wymyślić żadnej sensownej riposty.

— Ty robisz grób! Zjeb jest bardziej zjebany, niż się wydaje! Grób dla tej jaszczurki!

— Salamandry.

Grubemu Bubię było wszystko jedno. Kopniakiem rozrzucił wszystkie kamyki, szare, białe i różowe w czarne kropki, i czubkiem buta zaczął grzebać w ziemi, by wydobyć świeżo pochowane płazie truchelko.

Prezydent nie zdzierzył i uderzył Grubego Bubię otwartą dłonią prosto w ucho, a gdy ten zachwiał się ogłupiały, drugą ręką rozkwasił mu nos. Uderzył słabiej, niż chciał, ale wystarczająco mocno, by połała się krew. Po raz pierwszy w życiu kogoś naprawdę uderzył. Z oszołomienia dudniło mu w uszach, a serce waliło jak opętane.

Wielki chłopak pozbierał się pierwszy i wybuchł donośnym, dziecięcym płaczem. Prezydent uświadomił sobie, że też powinien się rozplakać, bo inaczej wszystko będzie na niego. Nie potrafił jednak płakać na zawołanie i w ogóle płkanie średnio mu wychodziło, nawet wtedy, gdy rzeczywiście miał powód.

Widząc, co się dzieje, pani Eliza wypadła na zewnątrz i wykrzykując coś, zasłoniła Bubię własnym ciałem, aby Prezydent nie wyrządził już więcej krzywdy jej ulubieńcowi. Za nią wybiegli wszyscy inni, a pan przewodnik wykręcił Prezydentowi rękę, choć ten tylko stał i nic nie robił.

— Wiedziałaś, wiedziałaś, co w tobie drzemie! Taka cicha woda, zapamiętajcie sobie, dzieci, to najgorszy typ człowieka! Mam nadzieję, że natychmiast przeprosisz kolegę i wytłumaczysz się ze swojego postępowania.

Prezydent milczał, nie potrafiąc wydobyć z siebie ani słowa. Coś ścisnęło mu gardło jak stalowe kleszcze i nie puszczało.

— On rozdeptał jaszczurkę, a potem zagrzebał ją w ziemi, proszę pani. — Gruby Buba, widząc zmieszanie Prezydenta, wykrzywił się w krwawym uśmiechu.

— A potem mnie pobił, gdy przyszedłem popatrzeć, co robi.

— Nieprawda! — ryknął Prezydent rozpaczliwie.

— Milcz! To do ciebie podobne, masz takie zapędy do dręczenia zwierząt. Wiemy o tym wszyscy. Nie mówiąc już o kłamaniu i wypieraniu się winy. Będę musiała porozmawiać z twoimi rodzicami po powrocie z wycieczki. I obawiam się, że dla nikogo nie będzie to przyjemna rozmowa. Nie pozostawiasz mi wyboru.

— To nie tak! Chciałem tylko pochować salamandrę...

— Trzeba czasem mieć odwagę cywilną, być mężczyzną i się przyznać. — Pan przewodnik bardzo chciał zaimponować pani Elizie, a mężczyźni gotowi są zrobić naprawdę różne rzeczy, aby się przypodobać. Mogą na przykład mocno ścisnąć rękę małego chłopca i wykręcić ją jeszcze bardziej niż przedtem. — O-dwa-ga cy-wil-na, mój chłopcze. Tęgo ci brakuje.

Najwyraźniej działało, bo nauczycielka posłała mu długie i pełne zachwyty spojrzenie spod rzęs. Ponaciskali oboje Prezydenta, by ten przeprosił Grubego Bubię, ale bezskutecznie. Pani Eliza na koniec stwierdziła tylko, że takie zabawy w pogrzeb to grzech, a pan przewodnik gorliwie jej przytaknął. Grzech, tak, ciężki grzech.

Wieczorem nauczycielka wymyśliła bardzo dziwną zabawę. Zebrała wszystkich we wspólnej sali ośrodka, w którym nocowała cała wycieczka. Przykazała dzieciom usiąść w kółku i mówić dobre rzeczy o osobie po swojej lewej stronie. Zabawa mało kogo bawiła, ale dzieci zwykle nie pyta się w takiej kwestii o zdanie. Prezydenta oczywiście usadzono tak, by po lewej stronie miał Grubego Bubię. Gorączkowo starał się wymy-

ślic, co może powiedzieć o swym prześladowcy, ale choć bardzo się starał, nic, co mu przychodziło do głowy, nie było dobre. Kolejka przesuwiała się nieubłaganie, a Prezydent nadal miał przed oczami wszystkie doświadczone krzywdy — bicie, duszenie, łamanie kredek, wylewanie naboju od pióra do kanapek, wpychanie głowy do muszli klozetowej, niszczenie ubrań, rozdeptanie salamandry i wszystkie te rzeczy, które dzieci robią sobie w szkole, a nauczyciele udają, że wcale tego nie widzą.

Kiedy więc przyszła kolej na Prezydenta, ten zacisnął usta i nie powiedział nic. Milczał i to milczenie zawisło między dziećmi jak burzowa chmura. Pachniało rdzą i niemal czuło się zapach soli na języku.

— A ty co? — Pani Eliza zbliżyła się do Prezydenta złowróżbnym krokiem. Od groźby w jej głosie stanęły mu włosy na karku. — Nie potrafisz nic dobrego powiedzieć o swoim koledze?

Prezydent bez słowa pokręcił głową.

A wtedy pani Eliza doskoczyła do niego, wykręciła mu boleśnie ucho w tutkę i podniosła za to ucho w górę. Drugą rękę uniosła, jakby chciała uderzyć go w twarz. Dopiero wtedy Prezydent wydał z siebie głos — przeraźliwy pisk, mysi pisk, pisk małego zwierzątka schwytanego przez drapieżcę. Zsikał się przy tym w spodnie. Musiało to otrzeźwić panią Elizę, bo puściła go, aż rymnął z łoskotem na podłogę. Z przestraczem zmieszonym z obrzydzeniem wytarła rękę o spódnicę, jakby Prezydent był wysmarowany czymś wstrętnym — więcej: jakby Prezydent sam był czymś wstrętnym, śliskim i wielonogim, czymś, co przypadkiem można znaleźć pod kamieniem albo wśród drewna na opał. Najwyraźniej nie przygotowały jej na to ani studia, ani dziesiątki kursów i szkoleń.

Pan przewodnik ryknął krótkim śmiechem, ale nie zawtórował mu nikt, nawet Gruby Buba. Zabawa była skończona. Te dzieci, które jeszcze nie miały czasu się odezwać, odetchnęły z ulgą, że nie będą musiały mówić sobie rzeczy kompromitujących ani wymuszonych.

Prezydent jeszcze długo leżał zwinęty w kłębek i cały się trząsał. W brzuchu przelewało mu się coś czarnego i ciężkiego. To coś było po trosze lękiem, po trosze wstydem, po trosze nienawiścią, a po trosze czymś jeszcze, na co nie ma nazwy w mowie ludzi, choć każdy doświadcza tego przynajmniej raz w życiu.

Myślał też, że to jego jedyne spodnie na wyjazd i że nawet jeśli je wypłucze i wysuszy, to w drodze powrotnej będzie śmierdział. I wszyscy, wszyscy będą pamiętali, że się zikał.

Pani Eliza cichaczem wymknęła się ze wspólnej sali, a za nią, parami, cała klasa, zostawiając Prezydenta na podłodze. Pan przewodnik wyszedł jako ostatni i zamierzał dać chłopcu przyjacielskiego kuksańca, ten jednak zwinął się w kłębek i zasłonił głowę rękami.

— I co się kulisz — mruknął mężczyzna. — Weź się przebierz i ogarnij, dziewczynko, bo jebiesz sikami. Kurwa, co za dzieciak pierdolnięty.

Rankiem pani Eliza nie zeszła na śniadanie. Obsługa ośrodka znalazła ją dopiero w pokoju pana przewodnika. Oboje byli ogryzieni do gołych kości, tylko tu i tam wisiały strzępy twardych włókien. Zostały też włosy, bo myszy nie lubią włosów.

\*

Na ranczo pani Popiel dotarł Prezydent piechotą. Chciał pojechać autobusem, ale kupił drogą kawę i kolorową torebkę w prezencie, a także dezodorant Brutal, którym obficie wysikał się przed wyjściem, i na bilet zwyczajnie mu brakło. W sklepie wahał się między kawą a winem; na kawach się nie znał, ale jeszcze mniej znał się na winach, przynajmniej takich, które mogłaby pić pani redaktor. W książkach bohaterowie zwykle orientują się w rodzajach win i bezbłędnie rozróżniają cabernet od merlota; we współczesnej prozie polskiej natomiast szczególnie popularne jest musujące prosecco. On jednak nie nadawał się na bohatera literackiego, nawet współczesnej prozy polskiej, i nigdy nie pił burgunda ani prosecco, a jedynie jabłkowe cavaliery, a dawniej jeszcze różowe wina z Pektowinu Jasło.

Gospodarskie psy przywitały Prezydenta jak swojego, co bardzo zdziwiło panią Jowitę. Były to bowiem mieszańce kaukaza z jakimś innym groźnym bydlęciem, które miały

młócić dupy intruzom, a nie łasić się jak szczenięta i zostawiać na spodniach błotniste odciski łap.

— Ale ja chyba nie jestem intruzem — uśmiechnął się Prezydent.

— Psy wiedzą najlepiej — odpowiedziała pani Popiel i poszła zaparzyć kawę w ekspresie.

Kawa smakowała jak przypalone orzechy i już po pierwszym łyku czuło się, jak płynny ogień zaczyna buzować w całym ciele, a myśli robią się lekkie niczym jaskółki.

Usiedli na werandzie małego, trochę pachnącego wilgocią domku. Prezydentowi podobał się ten zapach, bo kojarzył mu się z jego własnym domem, odziedziczonym po babce. Tyle, że z rancza pani Popiel rozciągał się wspaniały widok na lesiste wzgórze i na miasto daleko w dole. Prawie dwie godziny z buta, jak zdołał się przekonać Prezydent.

— Ryżego Iwana zgubił pan po drodze?

— Skądże. Chciał iść, ale pomyślałem, że na pewno ma pani pieski. A on raz by kłapnął paszczą i byłoby po nich. Co się pani śmieje, on takie kaukazy to na śniadanie łyka.

Rozmawiali sobie zupełnie o niczym, póki z jakiegoś zakamarka nie wychynęła polna mysz z ciemną pręgą wzdłuż grzbietu. Porwała kawałek zbożowego ciastka, które podał jej Prezydent, i uciekła bezszelestnie. Kudłate psiska ani drgnęły i nadal leżały rozwalone na werandzie, tak że zostawało mało miejsca na cokolwiek oprócz nich.

— Zwierzęta pana lubią — zauważyła pani Jowita.

Prezydent tylko zamyslił się i nic nie odpowiedział. Bo myszy, psy i małe ptaki — to rzeczywiście tak. Ale już koty, najeżone, trzymały się odeń na odległość. Dziennikarka jednak najwyraźniej tego nie dostrzegła.

— Przygotowałam panu książki. Trochę ich tu jest, bo nie wiem, co pana interesuje.

Weszli więc do środka, do kuchni pełniącej jednocześnie rolę pokoju gościnnego. Pachniało tu kawą i psami. Oprócz głównej izby w domku była mała sypialnia, jeszcze mniejsza łazienka i graciarnia. Zupełnie jak w domu Prezydenta, tyle że on graciarnię miał w każdym pomieszczeniu.

Na stole w kuchni czekał stos książek. Prezydent przejrzał grzbiety tomów i z marszu odłożył na bok więcej niż połowę.

— Co z nimi nie tak?

— Nie lubię współczesnej polskiej literatury. Niby to pięknie napisane, ale ja tam nie znajduję siebie. Nie ma tam mojego życia.

— Życie jest gdzie indziej — zauważyła pani Jowita.

— O, Kunderę to nawet lubię. Ale tu się pomylił, bo życia wcale nie ma gdzie indziej. Tylko tu.

— Chodziło mi o to, że w ogóle życia nie ma w literaturze. Książki jedno, życie drugie.

— To mnie pani zmartwiła. Takie słowa z ust osoby, która ze słowa żyje. Gdzie ja położę głowę, jeśli braknie dla mnie miejsca w słowach? Niespokojne jest serce moje, póki nie spocznie w książce.

— Z tym życiem ze słowa to ciężko — zachichotała redaktorka raczej niewesoło. — Z pisania do lokalnej gazety może i jest chleb, ale o karmę dla psów i drewno na opał to już byłoby ciężko. Tak naprawdę żyję z pensji męża.

Prezydent zwykle raczej słuchał, niż dopytywał, dlatego ludzie chętnie opowiadali mu o różnych sprawach.

— Mąż prowadzi firmę, robią beton na Błoniach. Każdy potrzebuje betonu, w przeciwieństwie do książek i gazet. Maciek jest dobrym człowiekiem i przynosi do domu dobre pieniądze. Kiedyś myślałam, że to wystarczy.

— A nie wystarczy?

— Nie wiem. Nie rozmawiamy ze sobą. Tyle, co o naszym synu. To nie tak, że się do siebie nie odzywamy i że jesteśmy skłóceni, nie. Po prostu nie rozmawiamy... tak naprawdę. Kto ma odwieźć Karola na angielski i do kiedy trzeba opłacić karate. Ale to są takie rozmowy na niby. Nieprawdziwe.

— Z Iwanem też przeważnie rozmawiam na nieprawdziwe tematy.

— Ale chyba jednak trochę panu na nim zależy.

— Ba! Troszczyć się o niego i martwić. Nie żryj byle czego, mówię, bo ludzie są pojebani i celowo trują psy. A on ma to w dupie, co znajdzie, to zeżre, a im więcej zepsute

i bardziej śmierdzące, tym chętniej. Za sukami, mówię, nie lataj, potem na alimenty chłopie nie urobisz. Grozę mu nawet, że go wezmę do weterynarza i wykastрую. Myśli pani, że słucha? Jeszcze pyskuje, że nie wykastрую, bo nie mam za co. Ale dawniej przecież ludzie sobie jakoś radzili, na przykład u koni. Brali dwie deszczułki, ściskali jajca i czekali, aż odpadną. Za przeproszeniem, pani redaktor.

Tak mówił, bo śmiech pani Jowity sprawiał mu ogromną przyjemność. Tymczasem letni zmierzch zaczął rozlewać się po niebie i nie wypadało zostawać dłużej. Prezydent wybrał więc kilka książek, nawet dwie współczesne polskie, które mu dziennikarka szczególnie zachwalała, i ruszył w długą drogę w dół. Powietrze było lekkie i pełne świerszczy i Prezydent więcej leciał, niż szedł.

\*

Rankiem zdał sobie sprawę, że jest śmieszny i głupi, a jego radość była szczeniacka i więcej pasowała Ryżemu Iwanowi niż jemu. Nie przejął się tym specjalnie. Taki wieczór to i tak było wiele i chyba pani Jowita również bawiła się dobrze. Żle byłoby jednak zakochać się w pani redaktor, a oczekiwać wzajemnego zainteresowania, będąc kimś takim jak on, byłoby już kompletnym absurdem. A jednak Prezydentowi przypomniały się dni, kiedy takie rzeczy się zdarzały.

Trzymał wyobraźnię na wodzy także z tej przyczyny, że redaktorka miała rodzinę. Mogła sobie do woli opowiadać, że nie rozumieją się z mężem, ale Prezydent dobrze wiedział, że nie da się rozumieć drugiego człowieka i że wiążąc się z kimś, zawsze skazujemy się na nierozumienie. I że nie tylko najbliższych nie rozumiemy, ale w ogóle nikogo ani niczego, człowieka, zwierzęcia, świata, Boga, i że to nie jest ani dobre, ani złe, tylko po prostu zwyczajne.

Nie wyobrażał sobie zatem pani Jowity. Nie przywoływał wspomnienia jej śmiechu, opadających na twarz ciemnych włosów, jej wężowych nadgarstków, którym nie mógł się napatrzeć, gdy nalewała kawę. Nie fantazjował o dotyku i pocałunkach na werandzie, w cienistym zaduchu winorośli, choć przecież byłyby to niewinne marzenia bez szansy na ziszczenie i każdemu wolno mieć takie marzenia, póki o tym głośno nie mówi. Prezydent zbyt dobrze jednak wiedział, że pragnienia zawsze uchylają furtkę do prawdziwego świata i że wszystko, co w świecie dobre i niedobre, najpierw powstało w czyimś sercu. Dlatego należy wystrzegać się własnego serca i nie zezwalać mu na zbyt wiele.

Nie wyobrażał więc sobie nic, ale i tak było mu przyjemnie. Dobrze jest nie myśleć. Musiał być jednak bardzo szczęśliwy, bo zabrał się za sprzątanie, a sprzątał jedynie wtedy, gdy porządkował swoje życie, czyli dość rzadko. Ryży Iwan chodził za nim krok w krok. Cała jego psia osoba wyrażała zaciekawienie, ale i lekki niepokój, bo raz za razem oblizywał się i ziewał.

— Nic się nie bój. Niczego nie zmieniam. Wyrzucam tylko część starych gratów.

— Ja też jestem starym gratem.

— Ale ty jesteś stworzeniem, nie rzeczą.

Na twarzy Iwana malował się wyraz uprzejmego niezrozumienia. On sam nie czynił takiego rozgraniczenia. Świat dzielił się na to, co było Iwanem, i na to, co nim nie było. To drugie zaś dzieliło się na rzeczy sprawiające radość, jak śniadanie, Prezydent, ślimak, patyk, kupa albo suki, i rzeczy, które radości nie sprawiały, a więc deszcz, głód, samochody, pchły i polewanie wodą ze szlauchu.

— Musisz rozgraniczać, co jest żywe, a co nie! — irytował się Prezydent. — Ty i ja żyjemy, a kamień nie.

Ryży Iwan odpowiadał zwykle, że kury sąsiadów też czasem są żywe i biegają, gdać, a czasem nawet latają, jeśli wpadnie się zniemacka na podwórko; kiedy indziej zaś są zdechłe i wtedy łatwiej je zjeść.

— To zupełnie nie tak — tłumaczył Prezydent. — Kamień, widzisz, nigdy nie był żywy, a kura jednak była. Dlatego kura należy do świata ożywionego, a kamień nie.

Ponieważ Ryży Iwan nie do końca radził sobie z pojęciami takimi jak „kiedys”, „wczoraj”, „było”, „będzie”, i jak większość psów żył wyłącznie w czasie teraźniejszym, milczał bardzo długo. Wreszcie rzekł:



— Kura, jeśli długo leży zdechła, to zamienia się w same kości. Może kamienie to też takie kości.

Prezydent prychnął tylko, niezadowolony, więc Iwan próbował dalej:

— A czy kupa jest bardziej jak kura czy bardziej jak kamień?

Musiał potem szybko uciekać, bo Prezydent strasznie mu naubliżał i rzucił w niego starym butem, ale tak, żeby nie trafić. Żeby jednak zrobić swojemu człowiekowi przyjemność, Ryży Iwan umknął z podkulonym ogonem i grzbietem wygiętym w pałąk, jak hiena. Iwan jest bowiem bardzo uprzejmym psem i lubi, gdy Prezydent czuje się silniejszy i groźniejszy niż w rzeczywistości. Takie przeświadczenie o sobie samym czasem bardzo pomaga w życiu.

Ryży Iwan jest już stary, ale Prezydent jest jeszcze starszy i pamięta matkę, babkę i prababkę Iwana. Wszystkie trzy były porządnymi sukami. Mieszkały w niskiej, parterowej chatce krytej eternitem przy błotnistej uliczce niedaleko rynku, tej samej, gdzie teraz żyje Prezydent z Iwanem. W sercu Dębicy jest bowiem kilka miejsc wyglądających, jakby leżały na wsi, a nie w centrum powiatowego miasta, któremu niewiele brakowało, a mogłoby mieć prawdziwego prezydenta w miejsce burmistrza. Domek stał poniżej poziomu ulicy i schodziło się do niego po paru betonowych schodkach, a okno od frontu znajdowało się na poziomie bruku i można przez nie było oglądać nogi przechodniów, aż do kolan.

Chatka należała nie tylko do matki, babki i prababki Iwana, ale też do matki i babki Prezydenta. Trzy mądre suki pozwalały mieszkać u siebie tym dobrym, ale trochę niezaradnym kobietom. Tak mawiał Ryży Iwan, choć Prezydent zarzucał mu wtedy, że łąe jak pies. Nie miało to jednak znaczenia, bo nikt prócz Prezydenta nie rozumiał, co mówi Iwan. No i nie można tak naprawdę kłamać, jeśli nikt nie rozumie tego, co się mówi, a nawet jeśli rozumie, to i tak nie wierzy.

Odkąd umarła babka, Prezydent żył w domku poniżej ulicy sam, nie licząc psów.

\*

Śmierć w życiu Prezydenta była częstym gościem, i to nie zawsze przez myszy. Po tym, co stało się z panią Elizą i panem przewodnikiem, przestraszył się siły mysiej zemsty. Raz próbował wypowiadać się z całej tej sytuacji, ale stary ksiądz pogonił go precz i nie dał rozgrzeszenia za robienie sobie kpin. Musiał więc Prezydent nauczyć się żyć z poczuciem winy, a przy okazji żyć tak, by nie dać się skrzywdzić. Zaczął chodzić na basen, a w szóstej klasie zapisał się na boks do osiedlowego klubu. Wolałby karate, ale boks był darmowy. Rozrósł się szybko wzdłuż i w szerz, a choć nadal nikt go nie lubił i nie miał przyjaciół, to jednak zaczęto się go trochę bać. Cieszył się z tego. Jeśli będą się go bali, to go nie skrzywdzą, a jeśli go nie skrzywdzą, nie zostaną pożarci.

Kiedy podrośł jeszcze trochę, przestał wierzyć w myszy.

A potem śmierć zabrała matkę Prezydenta. Zabrała ją na długo przed tym, gdy naprawdę umarła, zabierała ją po kawałku i na chwilę oddawała, by zaraz potem wydrzeć jeszcze większy kęs jej życia. Tak się umiera na niektóre nowotwory. Matka przez kilka lat uskarżała się na różne bóle, klucia, łupania i rozpierania, i lekarze twierdzili, że to nic, póki pewnego dnia nie znaleźli rozlanego wielonarządowego nowotworu, z którym nic się nie dało zrobić, więc nic nie zrobiono. Za późno, za późno, gdyby pani przyszła wcześniej, można by to i można by tamto. Niebawem matka spuchła i nie mogła się poruszać, a jej ręce i nogi zaczęły przypominać ciasto na pierogi. Czasem jej ciało pękało i sączyło się z niego przejrzyste, bezwonne umieranie. Krzyczała wtedy tak, że stara sąsiadka z dołu waliła w kaloryfer — mieszkali wtedy w bloku, w M<sub>3</sub> z oknami wychodzącymi na zarosnięty kirkut. Na miesiąc przed końcem zabrali ją do specjalnego szpitala, i tam było już trochę lepiej, bo choć matka cierpiała z pewnością tak samo, to on już nie musiał na to cierpienie patrzeć i związać się w środku z bezsilności, której nie da się wypowiedzieć.

Raz — jeden, jedyny raz, po wizycie w szpitalu, gdy zamroczona matka w ogóle go nie poznała — przyszło mu do głowy, że powinny tu wkroczyć myszy. W myszy już co prawda nie wierzył, ale przecież i w Boga ludzie często nie wierzą, a jednak się modlą. To nieuczciwe tak cierpieć, że już jest się nie sobą, tylko bólem. Tak się nie robi ludziom.

Następnego dnia raniem zadzwoniono, że toksemia, że reanimacja, że nagle, że bardzo im przykro, że o czwartej trzydziści pięć.

Wkrótce po pogrzebie ojciec przyprowadził do domu Bernadkę. Nie na stałe, ma się rozumieć, takie rzeczy nie uchodziły wtedy jeszcze w małym miasteczku, ale tak od czasu do czasu. Nakazał Prezydentowi nazywać ją ciocią, więc chłopak uparcie zwracał się do niej per pani.

Któregoś razu Prezydent musiał dotrzymać jej towarzystwa, gdy ojciec wyszedł do kuchni zapalić. Siedzieli przez chwilę we dwójkę w milczeniu, bo też o czym miał rozmawiać z tą kobietą, szczupłą i niebrzydka, o paznokciach pomalowanych na taki odcień zieleni, jakiego nie ma w przyrodzie. Skubał więc skórki przy paznokciach i wpatrywał się w wytarty turecki dywan z przemytu, kupiony przez rodziców jeszcze za komuny.

— Wiesz — odezwała się niespodzianie Bernadka. — Znamy się z twoim tatą już od paru miesięcy. Niedługo zabiorę ci go na zawsze.

Prezydent nie mógł uwierzyć. Nie mógł uwierzyć, że usłyszał to, co usłyszał. Skulił się tylko i stał się mały, maleńki, choć przecież był dwa razy większy od tej kobiety. Przestały mieć znaczenie mocne ramiona wyrobione na basenie i nabyta w czasie treningów krzepa. Znowu był nikim; więcej, pojął, że tak naprawdę nigdy nie przestał być nikim i cała jego siła oraz szeroki kark znaczą tyle, co pył na wietrze. Ktoś może przyjść i odebrać mu wszystko, jeśli tylko będzie miał taką ochotę. Nic nie odpowiedział i nie odezwał się nawet wtedy, gdy ojciec wrócił spowity w kwaśną woń papierosów.

Był nikim. Był myszą.

A Bernadka rzeczywiście zabrała mu tatę, choć nie do końca w taki sposób, w jaki chciała. Niedługo później po raz pierwszy została na noc. Choć oboje z ojcem zachowywali się cicho, to w małych mieszkaniach nie ma prywatności i wszystko zawsze słychać. Co to bowiem za prywatność na odległość wyciągniętej ręki, odgradzona tylko cienką ścianą.

Prezydent wyprowadził się więc do babki, do domku poniżej ulicy. Ojciec pewnie odetchnął z ulgą, bo nie musiał już dzielić przestrzeni z synem, któremu nie miał właściwie nic do powiedzenia. Milczenie w domu zawsze jest ciężarem, nawet jeśli nie lubi się innych domowników. A ojciec przecież nie lubił Prezydenta, nawet jeśli go po swojemu kochał.

Widywali się więc rzadko, a jeszcze rzadziej rozmawiali. Może i tak by mogło zostać, bo wielu ludzi żyje w taki sposób, a u babki nie było przecież Prezydentowi źle. Ale raz wrócił do mieszkania z oknami na kirkut, może po ciepłe ubrania, a może po jakąś książkę, i zastał ojca krzątającego się po kuchni, przygotowującego jakąś wymyślną potrawę, czego nigdy nie robił. Był rumiany, pewny w ruchach i młodszy niż zwykle, bo nowa kobieta zawsze tak działa na mężczyznę. Gdyby Prezydent miał więcej lat, a jego życie wyglądało choć trochę inaczej, może by to zrozumiał.

Ale miał tyle lat, ile miał, i — dobrze wiedział — skazany był na pozostanie myszą po kres swoich dni. A kiedy z małego pokoju wyrzała Bernadka i posłała mu zły, triumfalny uśmiech, uciekł. Wieczorem, przelykając gorące łzy i myśląc o matce w grobie, życzył Bernadce, by myszy weszły w jej usta we śnie i pożarły ją od środka. By przegryzły jej żołądek i drażyły tunele w jej wątrobie i płucach, by uwiły gniazda w ciemnych i wilgotnych głębiach jej trzewi.

Nekrologi zobaczył po trzech dniach, a zanim minął tydzień, musiał odciąć swego ojca od klamki kuchennych drzwi. Ojciec wisiał już na niej pewnie jakiś czas, bo był czarny, rozdęty i pachniał trupem, a pośmiertna sztywność ustępowała już z wolna z jego ciała. Nie zostawił żadnego listu. Milczał po śmierci tak samo, jak milczał za życia, i tak samo jak dawniej nie miał synowi nic do powiedzenia. Pochowano go przy matce na starym cmentarzu, tym samym, na którym potem Prezydent kopał groby dla dzieci i biedaków. Bernadkę zaś złożono kilka kilometrów dalej, na nowym cmentarzu na górze, tym, z którego widać całe miasto. Prezydentowi wydało się słuszne i sprawiedliwe, że jego rodziców pochowano razem, a tę trzecią daleko i na uboczu. Widać w śmierci jest jednak jakaś sprawiedliwość.

W środku był pusty i nie zastanawiał się nad tym, co uczynił. W szkole uczono go, że starożytni Egipcjanie wytrzewiali zwłoki przed ich mumifikacją. Tak właśnie się czuł: bez wnętrzości, bez wątroby, bez mózgu, wydrążony jak spróchniała kłoda. Myszy mogłyby zjeść pół świata. Nie dbał o to.

Wkrótce do chatki poniżej ulicy zapukał komornik. Okazało się, że ojciec przed śmiercią nabrał kredytów, by spłacić niemałe długi Bernadki. Kredyty zresztą zaciągał i wcześniej, na leczenie matki. Prezydent i babka przelękli się komornika i pozwolili mu zlicytować mieszkanie z oknami na kirkut za kwotę o wiele poniżej jego wartości. Komornicy, długi i kredyty to był świat, którego oboje nie rozumieli i z którym nie chcieli mieć nic wspólnego, jakby wszystkie te sprawy należały do jakiegoś diabelskiego porządku. Po latach pan Jonasz powiedział Prezydentowi, że można było załatwić to inaczej, ale wtedy nie miało to już najmniejszego znaczenia. Pan Jonasz był zresztą starym bajkopisarzem i nie należało wierzyć w to, co mówi. Zwłaszcza gdy mówił na trzeźwo.

Być może inni obwinialiby się o te śmierci, i te zawinione wprost, i te zawinione pośrednio. Ale ci ludzie najpewniej nigdy nie byli myszami i nic nie rozumieją. Nawet pani Jowita nie pojęła tego, gdy odważył jej się opowiedzieć o myszach przy następnym spotkaniu. Nie uwierzyła mu, co trochę go rozczarowało, a trochę jednak ucieszyło, bo mógł udawać, że tylko opowiada jakieś straszne bajki bez morału; takie bajki są najlepsze.

— Mogłyby zjeść mojego starego. Miałabym chwilę spokoju — roześmiała się trochę ochryple, bo tym razem pili wino.

Wino oczywiście ona kupowała. Prezydentowi wydawało się nie w porządku, że piją wino, którego butelka kosztowała pewnie tyle, ile on wydawał przez cały tydzień, jak nie więcej; wydawało mu się to nie w porządku, że takie wina w ogóle istnieją i że są kupowane. Nie powiedział jednak nic, aby nie robić przykrości pani Jowicie. Poza tym pewnie by tego nie zrozumiała, i może nawet zarzuciłaby mu, że przesadza.

Prezydent nie po raz pierwszy w życiu poczuł, że nadmiernie się obnażył przed innym człowiekiem. Przywykł jednak, że inni mu nie wierzą, bo przecież pani Jowita nie ośmieliłaby się żartować z myszy, gdyby wierzyła w nie choć odrobinę. Nie przejął się tym jednak tak, jak mogłoby się wydawać. Wiedział, że ma wpływ na bardzo niewiele spraw, i że to życie rządzi nim, a nie on życiem, a to jest bardzo uwalniająca wiedza. Zrozumienie tego pozwala na wyrzucanie próżnych i spóźnionych żalów razem z innymi starymi gratami.

\*

Raz na jakiś czas coś wstępuje w dębickich włodarzy i zaczynają wycinać drzewa. Miasto rozbrzmiewa wówczas warkotem pił motorowych i pokrzykiwaniem ludzi. Czasem wycina się jedno drzewo, stare, rozłożyste i piękne. A czasem tylko ścina się koronę, pozostawiając kilkumetrowy kikut, podobny do posągu pogańskiego bóstwa, i tylko czekać, aż w korze pojawią się grubo ciosane wąsate oblicza, spoglądające na cztery strony świata. Takie okaleczone drzewo desperacko trzyma się życia i wypuszcza gwałtownie nowe gałęzie, niemal z dnia na dzień. Gałęzie te, duże, lecz słabe, nazywa się wilkami; łamią się one przy silniejszych podmuchach wiatru, zagrażając ludziom i ich dobytkowi. Stanowią pretekst do zupełnego wycięcia. Takie przedłużanie agonii drzewa wydawało się Prezydentowi zbędnym okrucieństwem; lepiej byłoby wyciąć je od razu.

Prezydent pamięta, jak w jego dzieciństwie Dębica była zielonym miastem. Później jednak wycięto zabytkową topolową aleję wiodącą do dworu na Wolicy, a także pradawne dęby wzdłuż starego dworskiego muru. Potem lipy przy drodze do posiadłości Rejów w zakolu Wisłoki i inne drzewa wzdłuż ulicy Kraszewskiego, nie pamiętał już dokładnie jakie. Tak samo uczyniono z wielką wierzbą przy Słonecznej, choć w pobliżu nie stały żadne domy ani nic, czemu ta wierzba mogłaby zagrażać. Zagrożenia nie stanowiły też bzy wzdłuż Krakowskiej na Kępie, pod które w majowe noce chodziło się całować z dziewczynami. Miejsca po drzewach przeważnie wyłożono kostką brukową w kolorach szarym i różowym. Gdzieniedzie tylko posadzono klony, których korony regularnie przycinano w kształt nieco spłaszczonych kul. Wyglądały przez to jak wzięte z dziecięcego obrazka i w niczym nie przypominały prawdziwych drzew. Prezydentowi wydawało się, że muszą bardzo cierpieć.

Wycinkę prowadzono bez względu na to, która partia miała przewagę w Radzie Miasta. Choć może nie należy do tego przywiązywać nadmiernej wagi, bo od lat byli to przeważnie ci sami ludzie. Zmieniały się tylko barwy polityczne, które może mają znaczenie w Warszawie, ale w Dębicy już nie.

Wojna przeciw drzewom była już prawie wygrana. W całej Dębicy nie zostało ich wiele. Szala zwycięstwa od dawna przechylała się na korzyść kostki brukowej, co najwyraźniej cieszyło kolejnych burmistrzów.

Kilka drzew jednak nadal trwało, a wśród nich pradawna lipa tuż obok domu poniżej ulicy. Jej węzłaste korzenie, podobne do podziemnych węży, wypychały w górę płyty chodnika i napierały na płot, przez co wykrzywił się skoliotycznie. Prezydentowi to nie przeszkadzało, podobnie jak to, że korzenie drążą pod domem i być może osłabiają jego konstrukcję. Przeciwnie — nocami miał wrażenie, że obejmują go czule i ochraniają. Latem lipa wibrowała pszczelim gwarem, a kwiaty można było zbierać i suszyć, by mieć herbatę na rozgrzanie na chłodniejsze pory roku. Jesienią całe podwórko tonęło w liściach, a w zimowe noce trzeszczała i skrzypiała od mrozu. Może opowiadała krzepiące baśnie wielkim rzeszom myszy i innych małych zwierzątek, które znalazły schronienie w głębinach wykrotów i zakamarkach jej drzewnego ciała.

Nie powinien więc Prezydent się zdziwić, gdy pewnego dnia po wypiciu porannego piwa i omówieniu prasy w towarzystwie pana Jonasza, Szegiego i Ryżego Iwana wrócił do domu poniżej ulicy i ujrzał chodnik zabezpieczony żółtymi taśmami, ciężarówkę z wysięgnikiem i grupkę mężczyzn w zielonych kombinezonach służby zieleni. Robotnicy dźwigali ciężki, złowrogi sprzęt i wcale nie wyglądali, jakby mieli służyć zieleni.

— Co wy tu robicie? — zapytał Prezydent dość głupio, bo przecież dobrze wiedział co.

— Odsuń się pan i nie zawadzaj, będziemy ciąć, można w głowę dostać — warknął jeden z nich, nie patrząc na Prezydenta.

Drugi na próbę zawarczał piłą motorową Stihl, żrrrymmm, żrrrymmm.

— Ale jak to?

— Ale srak to. Weź pan idź stąd.

Prezydent w pierwszej chwili uczynił to, co czynił zawsze, gdy spotykał się z czyjąś wrogością: zamarł w bezruchu i nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. A choćby nawet mógł coś powiedzieć, to kompletnie nie wiedział co.

A przecież tak nie można. Wiadomo, bżów na Kępie i dębów na Wolicy szkoda, ale to tutaj to było coś zupełnie innego. To przecież była jego lipa, bo choć rosła poza terenem posesji, to przecież codziennie wsłuchiwał się w szum jej liści, latem zbierał jej kwiaty, a w dzieciństwie wspinał się na nią tak wysoko, że babka bladła i nie mogła wydobyć z siebie głosu, zupełnie jak on teraz.

— Długo tak pan tu będziesz sterczał? Idź pan w cholere, bo wezwiemy odpowiednie służby.

Prezydent poszedł więc w cholere, by wszystko na spokojnie przemyśleć w zaciszu domu. Musiał przecież istnieć jakiś sposób, by ocalić lipę — był jej to winny za te wszystkie lata, przez które drzewo czuwało nad nim i jego domem. Słyszał, jak gdzieś ekolodzy przywiązali się łańcuchami do drzew, by zapobiec wycince puszczy, ale nie mógł sobie przypomnieć, czy im się udało, czy nie. Tam chodziło jednak o pradawną knieję, a nie o starą samotną lipę. No i nie znał żadnych ekologów, a choćby nawet znał, to nie miał czasu, by ich tu ściągnąć.

Nie lubił działać. Działanie nigdy nie wychodziło mu dobrze ani na dobre. Ale teraz nie miał wyboru.

— Jaja sobie robisz, prawda? — zapytał Ryży Iwan, widząc, że jego przyjaciel wygrzebuje z komórki stary przerdzewiały łańcuch krowiak, którym babka Prezydenta uwiązywała matkę, babkę i prababkę Iwana, kiedy się ciekaly.

Iwana nigdy Prezydent nie próbował uwiązywać; raz, że sam pomysł wydawał się równie niedorzeczny co uwiązanie na łańcuchu wiatru albo śmierci, a dwa, że takich rzeczy przyjacielowi się po prostu nie robi.

Nie mówiąc nic psu, Prezydent zabrał łańcuch i wyszedł.

\*

Ocknął się w białej jasności, od której piekły oczy. Całe jego ciało pulsowało bólem, przytłumionym najwyraźniej lekami, ale i tak wyczuwalnym pod lepką narkotyczną chmurą oblepiającą myśli.

Trudno mu było zlokalizować jego źródło, póki nie spróbował poruszyć głową. Mimo unieruchomienia kołnierzem ortopedycznym ból wybuchł mu w głowie setką fioletowych powidoków, jakby zapatrzył się w słońce. Jęknął głucho.

— Leży, leży, nie rusza się — rzuciła pielęgniarka o szerokich ramionach. A więc był w szpitalu.

To chyba niedobrze.

— Pić — udało mu się wreszcie powiedzieć.

— Pan już swoje wypił. Zupełnie pijanego pana przywieźli — odparła kobieta srogo. Niemniej nalała wody z kranu do plastikowego kubka i pomogła Prezydentowi przełknąć kilka łyków.

Usiłował zaprotestować, że na pewno nie był pijany, bo tamtego ranka wypił tylko jedno, góra dwa piwa z panem Jonaszem, Szegim i Ryżym Iwanem. Pamięć jednak płatała mu figle, głowa łupała jak na porządnym kacu, a wspomnienia plątały się i nie chciały ułożyć w jeden ciąg. Może więc wypił więcej, niż mu się wydawało.

Teraz, gdy sobie powoli wszystko przypominał, dochodził do wniosku, że rzeczywiście mógł wychylić jeszcze kielonka, dwa albo pięć, zanim odważył się wyjść do robotników, okaleczających metodycznie jego lipę, gałąź za gałęzią. Potem obwiązał się łańcuchem w pasie i przrzucił pętlę przez jeden z bocznych konarów. Wdrapał się wyżej, nie bacząc na gniewne okrzyki mężczyzn w kombinezonach. Wspinaczka szła mu lekko jak w dzieciństwie. Może miała z tym coś wspólnego wypita wódka, bo przecież na trzeźwo nie ośmieliliby się wspiąć tak wysoko. Alkohol i gniew płonęły mu w żyłach, alkohol, gniew i coś jeszcze — być może radość z tego, że po raz pierwszy w życiu robi coś wbrew innym, że stawia na swoim i wygrywa, wygrywa choćby przez jedną krótką chwilę.

Robotnicy w dole kurwowali wściekle. Zebrało się kilku gapiów, a Prezydent nic sobie z tego nie robił, tylko siedział w rozwidleniu gałęzi, podobny do prastarego leśnego bóstwa, które wychynęło nagle z lipowej kory po stuleciach uśpienia. Tłum w dole rósł, a on czuł się niezwykczony i było to bardzo przyjemne uczucie. Mógłby ciskać w dół pioruny, gdyby tylko zechciał. To było południe jego życia.

Trwało to krótko. Nie zdążyła przyjechać policja ani choćby straż miejska. Wskazówki zegara jego życia drgnęły i przesunęły się na minutę po dwunastej. I już było po południu. Bo niespodziewanie z dołu odezwał się dziecięcy głos:

— Ale zjeb! Patrz, tato, jaki zjeb! — Mały chłopiec, różowutki jak prosiaczek, podskakiwał i szarpał za skraj koszuli tęgawego mężczyznę.

— Jak ty się wyrażasz. Matka cię tego nauczyła?

— Powinien spaść i skręcić sobie kark.

— Na to musiałby mieć choć trochę odwagi.

W ich głosach usłyszał Prezydent Grubego Bubę i pana przewodnika. Znów znalazł się w dzieciństwie, zepchniętym do piwnicy pamięci. Znów był na szkolnej wycieczce, a Gruby Buba rozdeptał salamandrę. Znów był myszą, małym zwierzątkiem, nikim. Pojął też, że wszedł naprawdę wysoko, i zakręciło mu się w głowie.

Może łańcuch wcale nie trzymał tak mocno. A może pękł, bo był stary i zjedzony przez rdzę. A może z łańcuchem wszystko było w porządku, tylko słowa przechodniów zakłęły Prezydenta, tak, że spadł, a w głowie wybuchła mu czerni.

\*

Dopiero na trzeci dzień od wypadku pozwolono panu Jonaszowi i Szegiemu zobaczyć się z Prezydentem. Ryżego Iwana nie wpuszczono do szpitala, choć był zdecydowanie bliższą osobą niż tamci dwaj. Co więcej, Prezydent wpisał go jako osobę upoważnioną do otrzymywania informacji o swoim stanie zdrowia. Lekarz dyżurny wpadł w szal, gdy okazało się, kim naprawdę jest pan Iwan Ryży. A przecież wcale by to lekarzowi nie uwłaczało, gdyby na chwilę usiadł i porozmawiał z najbliższą Prezydentowi osobą.

— Stan jest stabilny, panie Iwanie — mógłby wtedy powiedzieć pan doktor.

— Chory wymaga opieki i z pewnością spędzi w szpitalu najbliższy tydzień, może nawet dłużej. Ale już rozpoczęliśmy rehabilitację.

Tak powinno być, bo Prezydent wątpił, czy pan Jonasz i Szegi przekażą Iwanowi wszystko, jak należy. Tymczasem jednak musiało mu wystarczyć towarzystwo tych



dwóch. Siadywali oni przy jego łóżku i pierwszy mówił, że Prezydent wkrótce wróci do zdrowia i znów będą mogli spotykać się o poranku na ławeczce przy ulicy Kolejowej, a drugi twierdził, że Prezydent lada dzień zdechnie. Kończyło się to nieodmiennie kłótnią i pielęgniarki musiały wyrzucić obu z oddziału, nie szczędząc pod ich adresem słów tyleż przykrych, co prawdziwych.

Prezydent jednak cieszył się, że przychodzą. Na sali oprócz niego byli sami porządni pacjenci i żaden z nich nie chciał mieć z Prezydentem nic wspólnego. Sarkali tylko półgłosem, że taki ma opiekę i za darmo dostaje to, na co oni muszą łożyć ze swych podatków. Prezydentowi również nie wydawało się to sprawiedliwe, bo przecież był nikim, ale świat najwyraźniej został tak skonstruowany, by taki nikt jak on dostawał dokładnie to samo, co prawdziwi ludzie.

Codziennie udawało się Szegiemu wcisnąć Prezydentowi ukradkiem małąkę ze słodką wódką. Chory wypijał ją na raz wieczorem, gdy tylko gaszono światła. W życiu nic mu tak dobrze nie smakowało jak ta wódka, na której wypicie musiał cierpliwie czekać przez cały dzień. Butelkę chował między materacem a prześcieradłem, bo nie mógł wstawać bez pomocy rehabilitanta i nawet sikać musiał do tekturowej kaczki. Szegi zabierał pustą flaszkę następnego ranka. Nikt się w niczym nie zorientował: ani pielęgniarki, ani inni pacjenci.

Z dnia na dzień miał się Prezydent coraz lepiej i po jakimś czasie mógł już wychodzić sam do łazienki i na korytarz. Trochę mu było przykro, że przez cały ten czas pani Jowita Popiel nie odezwała się do niego ani razu. Ale przecież na pewno miała wiele pracy, a poza tym skąd miałyby w ogóle wiedzieć, że jest w szpitalu.

Gdy przyszedł piątek i pan Jonasz przyniósł lokalny dziennik, Prezydent przerzucił kartki w poszukiwaniu felietonu pani Jowity na szóstej stronie, ale nie znalazł. Przebiegł wzrokiem całą gazetę, ale dalej nic.

— Sport jest na końcu — odpowiedział Szegi.

— Nie ma felietonu?

— Jakiego, kurwa, felietonu?

— No... Jowity Popiel. Tej wiecie. Zawsze w piątce jest.

— Bo ty nic nie wiesz.

— Czego nie wiem? Gadaj!

— Szegi nie potrafi wypowiedzieć się pełnym zdaniem — wtrącił się do rozmowy pan Jonasz.

— Że co? Że ja? Że ja, kurwa, pełnym zdaniem nie potrafię?!

— Chodzi o to, że felietonów raczej nie będzie, bo zdarzyło się nieszczęście — ciągnął pan Jonasz, nie zważając na krewkiego kompana. — Akurat wtedy, jak spadłeś z drzewa, męża pani Popiel znaleziono martwego.

Prezydentowi zrobiło się niedobrze.

— Martwego.

— To znaczy, najprawdopodobniej, bo nie dało się jednoznacznie zidentyfikować zwłok. Czekają na wyniki badań DNA. Cała Dębica tym żyje, nawet w „Fakcie” o tym pisali. W „Fakcie”, wyobraź sobie. Podobno wyglądało to tak, jakby został zjedzony przez zwierzęta.

— Przez zwierzęta — powtórzył Prezydent bezmyślnie.

Głos pana Jonasa pulsował w jego głowie, raz przybierał na sile, raz cichł, jakby dochodził z wielkiej dali.

— Bywały takie przypadki, nawet u nas. Na Łysogórskiej na przykład mieszkała kiedyś taka pokręcona babka, stara panna, co miała u siebie z siedemnaście kotów. Mnożyły się, jak to koty, no i śmierdziały, bo żadne zwierzę nie śmierdzi gorzej od kota, jak się zeszcza. Co jej opieka społeczna przy pomocy animalsów te koty odebrała, to ona zaraz pozbięrała nowe po śmietnikach i diabli wiedzą jakich zakamarkach i w dwa tygodnie odbudowywała całą populację. Aż się babce zmarło, nagle, bo młoda była, tyle lat miała co ja teraz.

— Sto sześć — burknął Szegi.

— Morda w kubeł, imbecyłu, grzecznie proszę. Może się zaczadziła, bo to była zima, a może cierpiała na jakąś chorobę. Nikt się nie dowiedział i nikt się nie dowie, bo jak opieka przyszła na dniach, to ona była całkiem przez te koty zjedzona. Ale Popiele podobno nie mieli kotów, a coś go obgryzło do gołej kości.

— Jak Popiele, to może myszy, hyhyhy — zarechotał Szegi.

— Durnyś, gdzie by ci myszy ludzi jadły. Prędej szczury. Po całym mieście teraz trutkę rozkładają, no nie pamiętam takiej akcji. Prezydent? E, coś ty taki blady? Siostrzo? Jasny kogut, siostrzo!!!

Do wieczora Prezydent jakoś się pozbierał, choć nie bardzo chciał. Od leków uspokajających myśli strasznie się kleiły i poruszały pod czaszką dwa razy wolniej niż zwykle. To mu nie przeszkadzało. Wiedział, co musi zrobić.

Poczekał do północy, gdy zrobiło się już całkiem cicho i spokojnie. Inni pacjenci spali już w najlepsze, pielęgniarki chichrały się z filmików w telefonie, lekarz zamknął się w dyżurce i też najpewniej spał. Ostrożnie, nie robiąc więcej hałasu niż duży kot, Prezydent wymknął się z oddziału tylnym wyjściem i nieużywaną zwykle klatką schodową dotarł na parter. Choć potrafił przemykać się cicho jak myszka, to ochroniarzy nie mógł już tak łatwo ominąć. Cofnął się więc ostrożnie na klatkę i otworzył niskie, poziome okno na półpiętrze. Okno miało kratę z kłódką, ale to nie była żadna przeszkoda dla Prezydenta, któremu kiedyś zdarzało się włamywać na ogródki działkowe i kraść kosiarki i radia, które potem sprzedawał na bazarze koło stadionu Wisłoki. Pogmerał trochę w zamku spinką do włosów znalezionej dzień wcześniej na korytarzu, póki kłódka nie szczęknęła i nie puścił zatrzask. Gdy uchylił okno, w szpitalny zaduch wdarł się zapach nocy i deszczu. Nie czekając, aż ochrona się zainteresuje, wyskoczył na zewnątrz. Wylądował w zeschłej trawie, dość miękko, ale w głowie i tak coś lupnęło i zamroczyło go na chwilę. Chłód i drobny deszcz orzeźwiły go jednak niebawem i prędko wymknął się z terenu szpitala przez dziurę w płocie, w najciemniejszym miejscu od strony parku.

Dębica jest miastem, które po północy można przemierzyć z jednego końca na drugi i ani razu nie wejść w krąg światła rzucanego przez latarnie, jeśli tylko wie się jak. Zataczając się lekko, bo głowa wciąż bolała i chciało mu się rzygać, Prezydent ruszył przez park, a potem wzdłuż torów kolejowych, omijając szerokim łukiem dworzec. Wiadomo, że człowiek w szpitalnej piżamie i z wenflonem w dłoni budziłby zainteresowanie, a nie chciał natknąć się na sokistów ani tym bardziej na przypadkowy patrol policji. Szedł więc ostrożnie i nie spieszył się, choć padało coraz mocniej. Zdążył całkiem przemoknąć, gdy minął osiedle kwadratowych domów i dotarł pod tylny mur cmentarza. Przesadził go nie bez trudu, choć mur nie był tutaj bardzo wysoki. Całe ciało Prezydenta ogarniało drżenie i czuł, że ma gorączkę.

Znalazł miejsce pod murem. Pasowało do niego. W dzisiejszych czasach nie ma to już znaczenia, ale dawniej na uboczu chowano samobójców i innych ludzi, o których nie warto pamiętać. Gołymi dłońmi jął wygrzebywać dół. Ziemia, choć rozmiękczona deszczem, była gliniasta i pełna korzeni po starych modrzewiach, które nowy proboszcz kazał wyciąć i posadzić w ich miejsce tuje, żeby było odpowiednio cmentarnie. Wreszcie Prezydentowi udało się wykopać dołek głęboki na dwie dłonie i na tyle długi, że mieścił się w nim cały. Więcej grzebać nie miał siły.

Położył się na plecach i wyl, wyl straszliwie i zwierzęco i bluźnił temu, co na ziemi, i temu, co na niebie, i w ogóle wszystkiemu, co akurat słuchało. Zaciskał w dłoniach gliniaste błoto i wściekle tłukł całym ciałem jak w napadzie epilepsji.

— Żryjcie mnie, kurwy pierdolone, żryjcie mnie wreszcie, no na co wy czekacie?!

Myślał, że nie przyjdą. Przyszły. Otoczyły grób kręgiem i kornie spuściły głowy, trwając w milczeniu. Bo tak trzeba robić, kiedy jest się myszą.

Złapał jedną z nich w dłoń i ścisnął mocno. Mógłby zgnieść ją w jednej chwili. Czuł łomot jej serca, tak szybki, że nie sposób było wyczuć poszczególnych uderzeń. Nie broniła się.

— Czemu mnie nie gryziesz?! — ryknął, ale przerażona mysz nawet nie pisnęła.

— Dlaczego mamy cię gryźć? — przemówiła w końcu jedna z myszy. — Służymy ci i strzeżemy cię. Do kogo pójdziemy, gdy nami wzgardzisz?

Prezydent dyszał ciężko. Chciał zabić mysz, którą miał w garści, lecz nie potrafił. Czy bowiem była winna, że urodziła się małym zwierzątkiem? On sam nigdy nie był niczym więcej. Wreszcie odstawił mysz na krawędź grobu nie grobu. Kilka innych zaraz jęło ją obwąchiwać, byle tylko móc poczuć woń Prezydenta.

Mężczyzna opuścił głowę w błoto. Zimne strużki gliny wlały mu się do uszu. Zamknął oczy.

— Dajcie mi umrzeć.

— Długo masz zamiar tak leżeć? — odezwał się Ryży Iwan. W mroku cmentarza wyglądał na znacznie większego i groźniejszego. Jak coś, co wyszło z nocy, co mieszka w ciemności i do niej przynależy.

— Ty też przyszedłeś sobie popatrzeć?

— Nie tylko ja.

I kiedy Prezydent uważnie wpatrzył się w czerń dookoła, dojrzał setki błyszczących oczu. Nie tylko mysich, ale i ptasich, szurzących i żabich. Była też, jak mu się wydawało, jedna salamandra. Miał wrażenie, że wszystko, co w życiu pochował, co oddał ziemi, przyszło teraz do niego. Wzrok martwych stworzeń jarzył się dziwnym, podziemnym światłem, podobnym do blasku wierzbowego próchna.

— Jesteś, kim jesteś. Nie możesz być nikim innym — powiedział Iwan. — Jak tam głowa?

— Żle.

— Czyli jak zawsze. Całe szczęście, bo już zaczynałem się o ciebie martwić.

— Muszę wracać, skoro mnie nie zeżrecie.

— Dokąd chcesz wracać?

Prezydent nie wiedział. Milczał.

— Już dawno nie przynależysz do świata ludzi. Właściwie to nigdy cię tam nie chcieli. Czemu nie pójdziesz z nami? Idziemy w nieskończoność.

Prezydent uniósł się na łokciach. Wstał z trudem, obolały, ubłocony i w ogóle niepodobny do człowieka.

— Idę w ślad za wami.

Poszli. Iwan wesoło merdał ogonem.

*Ubrzyń, Kraków*

*Jesień 2020*

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest udostępniony na licencji *Licencja Wolnej Sztuki 1.3*.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. 99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/rak-male-zwierzatka/>

Tekst opracowany na podstawie: Radek Rak, *Małe zwierzątka*, Fundacja Nowoczesna Polska 2020.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Aleksandra Sekula, Ilona Siwak, Jarosław Lipszyc.

ISBN 978-83-288-6011-7

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).